NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WARSZAWA UL. MAZOWIECKA № 5 TEL. № 226-83.

№ 10

WARSZAWA DNIA 25 LUTEGO 1912 R.



Michał Boruciński. (Tow. Z. S. P. Konkurs historyczny im. Papieskiego.) Nagroda II-ga. Śmierć Warneńczyka.

ŚMIERĆ WARNEŃCZYKA.

(Konkurs historyczny im. Papieskiego.)

Drugą nagrodę na konkursie ogłoszonym z inicjatywy mecenasa Papieskiego przez Warszawskie Towarzystwo Zachęty do Sztuk Pięknych zdobył p. Michał Boruciński za obraz, którego reprodukcję załączamy.

Odznaczenie jest słuszne. Boruciński należy do najmłodszej generacji malarzów polskich i jakkolwiek w sferach bliżej ze sztuką związanych od lat kilku zwraca na siebie uwagę dość niepospolitemi manifestacjami swego talentu wśród szerszej publiczności uznania zdobyć jeszcze nie zdążył. Wychowaniec warszawskiej szkoły Sztuk Pięknych, niedawno bardzo opuścił pracownię uczelni i ma jeszcze przed sobą długą drogę studjów i pracy przygotowawczej, ażeby zdobyć najwyższe w sztuce swej mistrzostwo. Niewątpliwie skromny, pięciusetrublowy, z konkursu otrzymany zasiłek będzie mu w tej pracy pewną pomocą i nieco ułatwi trudną — niestety zbyt nieraz u nas trudną, zbyt stromą i kamienistą drogę artystycznego doskonalenia się.

Taki jest cel zasadniczy wszelkich konkursów, jako zachęty czy podniety zewnętrznej do twórczości w danym zakresie. Taki zdaje się miał cel inicjator konkursu, gdyż nawet w warunkach zapowiedzianego turnieju artystycznego, rodzaj i kierunek tej twórczości dość ściśle określił.

Regulamin konkursu głosił dosłownie: „Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem zgodnie z inicjatywą mecenasa Papieskiego, który zdeponował na ten cel kwotę tysiąca rubli, ogłasza niniejszym konkurs na obraz olejny dowolnych rozmiarów, osnuty na tle, mającem związek z dziejami kultury polskiej w jaknajszerszem tego słowa znaczeniu, więc bądź w zakresie rozwoju nauk, literatury i sztuki, bądź z zapoczątkowań naszych wielkich statystów w dziedzinie urządzeń oświatowych, społecznych lub politycznych.

Towarzystwo Zachęty dodało od siebie 500 rubli, tworząc drugą nagrodę dodatkową.

Wyszczególnienie w warunkach konkursu zastrzeżenia, że dzieło ubiegające się o nagrodę w treści swej ma mieć związek „z dziejami kultury polskiej" wyrobiło wśród malarzów przekonanie, że chodzi tu o obraz historyczny, to też większość prac nadesłanych istotnie mniej lub bardziej wyraźnie w zakres malarstwa historycznego wkraczała.

Sąd konkursowy pierwszą nagrodę przyznał portretowi zbiorowemu Stanisława Lentza. Wprawdzie portret ten przedstawiający założycieli Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, więc ludzi z kulturą polską ściśle bardzo związanych, zatem i obraz wiążący się niewątpliwie z kulturą polską, ale nie z jej dziejami, gdyż ludzie tam sportretowani, jako współcześni, jeszcze do dziejów nie należą.

Nie wdając się tu jednak w krytykę sposobu interpretowania zasadniczego warunku konkursowego, ani sposobu repartycji sum na ten cel przeznaczonych, chcemy zwrócić uwagę na zalety artystyczne utworu młodego, a rzeczywiście nader świetnie zapowiadającego się malarza — utworu, który dzięki konkursowi na widownię wypłynął.

Dzieło p. Borucińskiego posiada jeszcze zapewne usterki i niedociągnięcia, wynikające z braku doświadczenia technicznego i swobody kompozycyjnej w tym tak trudnym, a tak powszechnie zapomnianym dziś rodzaju, ale zarazem, mimo wszystko, dzieło to świadczy wymownie o bardzo oryginalnym, bardzo świeżym i bardzo zdecydowanym w charakterze talencie autora.

Boruciński, jako malarz, obdarzony wysokiem poczuciem dekoracyjności, odnalazł już własne indywidualne środki wyrazu przez swoistą właściwą sobie stylizację, a przez odpowiednie umiejętne zastosowanie tej stylizacji do tematu przedstawił się jako wytworny, świadomy swych celów artysta-kompozytor.

„Śmierć Warneńczyka", jako obraz, daleki jest od tego, co się nazywa ścisłem odtworzeniem w malarstwie danego momentu dziejowego — odtworzeniem opartem na zaciekłem zbadaniu niezliczonego mnóstwa pewnych niezawodnych dokumentów historycznych, lecz fantazją artystyczną, ujętą w dekoracyjne uogólnienia stylistyczne i, że tak powiemy, symboliczne.

Owe uogólnienia i symbolizm wiążą się niezmiernie harmonijnie z symboliczną legendą bo-



M. Boruciński. Fragment z obrazu „Śmierć Warneńczyka".

haterskiego króla, który jest w dziejach naszych jakby uosobieniem misji, spełnianej przez Polskę—przedmurze chrześcjaństwa i cywilizacji. Bitwa pod Warną stoczona była nie dla celów dynastycznych, ani zaborczych, ale z podniet nawskroś ideowych. Młodociany monarcha, ożywiony duchem krucjatycznym, wystąpił do walki z półksiężycem, jako ostatni rycerz krzyżowy. Wyobraźnia ludu podniecona tajemniczością jego śmierci, wytworzyła legiendę pełną cudowności, co zawsze stanowi niewyczerpane źródło natchnień artystycznych.

Boruciński zaczerpnął z tego źródła i, przyznać trzeba, w stosunku do tematu stanął na wysokości zadania.

Jak z historji wiadomo, rycerski młodzian rzucił się z mieczem w zwartą ciżbę nieprzyjaciół i zginął bez wieści. Długo nie wierzono w zgon Władysława III, co nawet przewlekło nadmiernie bezkrólewie i opóźniło koronację Kazimierza Jagiellończyka. Chwilę tego tajemniczego zgonu przedstawił artysta. Próżno tu szukać postaci znanych z dziejów — wodzów wybitnych z jednej i drugiej strony, czy owego sprawcy moralnego wyprawy, legata papieskiego Cesariniego, bo chodziło tu raczej o artystyczne malarskie ujęcie walk rycerstwa polskiego z saracenami, walk, wyrażających misję kulturalną narodu polskiego.

Z tego stanowiska „Śmierć Warneńczyka" nie jest w ścisłem słowa tego znaczeniu obrazem historycznym, nie mniej przecież z dziejami kultury polskiej posiadającym związek najistotniejszy i najbardziej bezpośredni.

A że artysta obraz pojął i skomponował w sposob świadczący dobitnie o smaku wytwornym, wysokiem poczuciu dekoracyjności oraz widomej w stylizacji owej świadomości celów i środków owej sztuki, dzieło, mimo wspomnianych usterek, w dziedzinie naszej młodej twórczości artystycznej, jest zjawiskiem naprawdę nader sympatycznem.

Boruciński zapowiada się, jako malarz tęgi i wcale niepospolity kompozytor.

T. Jaroszyński.

WACŁAW GĄSIOROWSKI.

8)

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.

W podobnym momencie mówi się zawsze dobre słowo. Dobre słowo? — Umiał ich niegdyś mnóstwo... ale teraz ani wypomnieć. I przytem Litwin i Michalisiuk...

Pan Tomasz spojrzał ku idącej przodem wyniosłej postaci draba i zaniepokoił się.

Był na jego łasce i niełasce. Wilki, Towginy — jednego rodu pewno z proboszczem.

I w podporuczniku nieufność rozetlała do przewodnika.

Michalisiuk podczas bynajmniej nie starał się wejść z panem Tomaszem w komitywę. Szedł w milczeniu przodem, ledwie racząc zerknąć na towarzysza. Na popasach dobywał z sakw ubogie zapasy, — wydzielał mu z nich bez ceremonji jedną rację chleba i słoniny, drugą dla siebie, — kubek okowity podawał i wnet sznurował tłumok, supłał sakwy, nie turbując się, czyli pana Tomasza do poprawin nie zdejmuje ochota.

Podporucznikowi do reszty się to niepodobało. Michalisiuk ani snać dbał o jego sentymenty, bo i na zadawane mu pytania nie odpowiadał prawie, jeno chmurzył się i bąkał oburkliwie.

Pan Tomasz atoli miał już swój plan działania. Nadewszystko czuł się znów rześkim, silnym nawet, wypoczętym, więc władnym skorzystać ze sposobności i uwolnić się od kompana. Jużci nie zaraz, bo w lasach i haszczach, którymi go Michalisiuk wiódł, trudno byłoby się podporucznikowi wyznać, trudno nie zbłądzić. Lecz niech na gościniec się dobędą; niech Litwin oczywistą zdradę knuć zacznie, — momentu nie zbałamuci.

I pan Tomasz, niby ulegał rozkazom Michalisiuka, nie dawał pozoru, — a przecież coraz pilniej baczył, jak i kiedy zręczniej mu będzie strzelca powalić, ogłuszyć i własnym przemysłem dotrzeć nie do wedet kozackich, lecz do francuskich regimentów.

Dwa dni tak zeszło podporucznikowi. Michalisiuk precz lasami wiódł, puszczami, ostępami zapadłymi. Lasy, gąszcza, zawalone pniami wąwozy nie kończyły się. Raz jeden, na schyłku pierwszego dnia, blask



Stanisław Lentz. (Tow. Z. S. P. Konkurs historyczny im. Papieskiego.) **Pod znakiem Staszica.**

Nagroda I-sza.

Dmochowski, Hr. Potocki, Korbut, Kochanowski, Pulaski, Majewski, Jabłonowski, Dickstein, Chlebowski, Lewiński, Smoleński.

wolnego przestworu zaświecił poprzez sosny. Michalisiuk czegoś zawahał się, obejrzał się, murszowi na drzewach się przyjrzał i zawrócił w bór.

Zresztą pan Tomasz nie mógł się skarżyć na przewodnika, bo gdy, o słońca zachodzie, znużenie całodziennem przedzieraniem się przez krzewy, brodzeniem w śniegu, potykaniem o sęki, korzenie i kłody jęło mu nogi pętać a siły wyczerpywać, — z mroków leśnych wychylała się chruściana buda, schronisko nielada, bo zamknięte wnet u wejścia płomieniami ogniska.

Znał las stary Litwin, lepiej niż gościńcem nim szorował, jednego kroku na darmo nie uczynił.

Na trzeci dzień rano,— po godzinie drogi — przed wędrowcami las na dobre zaczął rzednąć, roztapiać się w zagajniku, łąkami się przepasywać. Na horyzoncie ukazywały się tu i owdzie skłębione obłoczki dymu.

Pan Tomasz nie wytrzymał i zagadnął.

— Ile jeszcze drogi mamy?

— *Uidysz*! — mruknął drab.

— Tu jakby wieś albo li miasto?

— *Uidysz!*

Podporucznik zęby zaciął. Aż z lewej zarysowała się wstęga gościńca, ginąca tuż za falistem wzniesieniem. Michalisiuk spojrzał, zastanowił się i jął ku niej zmierzać — gdy nagle, z poza wzniesienia wysunęła się gromadka jeźdźców. Żółte kaski łysnęły groźnie.

Litwin zęby wyszczerzył i roześmiał się cicho.

Pana Tomasza ciarki przeszły. Był to pluton kirasjerów rosyjskich.

— Trzeba w las!

— Phi, nie *ważno!* — uparł się Michalisiuk.

— Wypatrzą nas!

— Uch tam!

I Litwin, jakby czyniąc ustępstwo podporucznikowi, zboczył nieco w zagajnik, — lecz tak, że, idąc grzbietem wzniesienia, nie tracił z oczu plutonu.

Kirasjerzy tymczasem mogli zaiste napełnić trwogą wędrowców. Nie był to bowiem oddział, zaprzątnięty pochodem, gromadka, którą służbowy rozkaz parł w stronę odległego celu, lecz był to patrol, z karabinkami zapartymi na siodłach, wlokący się ociężale, ważący każde uderzenie kopyta końskiego, spodziewający się utarczki a może krwawego porachunku z maruderami.

Kirasjerzy zniknęli za lasem. Pan Tomasz odetchnął.

— Byliby nas zagarnęli—rzekł gniewnie.

— Nie *ważno.*

— Dla was, pewnie.

— *Bude* ich, *pane, bude*!

— Jakto?

— *Szczo tysiace* poszły!.. Uch, i poszły!

Tu Michalisiuk roześmiał się tak serdecznie, że podporucznik nie wątpił dłużej o intencjach przewodnika, — lecz pohamował się i zagadnął politycznie.

— A wam tego właśnie najwięcej!

— Uhu-iii... *Szczoby, szczoby!!*

Pan Tomasz oczy wpił w ziemię i zmilczał, aby nie zdradzić się z pasją, która go ogarnęła.

Michalisiuk ruszył znów żwawiej ku następującemu zagajnikowi, — nie troszcząc się, że, idący za nim, kompan mierzył ponurym wzrokiem jego bary, że zaciskał palce na sękaczu, jak człowiek, gotujący się do napadu, do krwawej rozprawy.

Pan Tomasz upatrywał już potknięcia się Litwina i szedł tuż za nim, krok w krok, aby żadnego nie uronić ruchu.

Wtem Michalisiuk przystanął i zachrypiał cicho zdławionym śmiechem.

Podporucznik pobiegł w ślad spojrzenia Litwina i osłupiał. O kilkanaście kroków, ponad krzem cierniowym błyszczał kask, kirasjerski, widniał tuż prawie, — na przełaj trwał.

— Wedeta!— szepnął pan Tomasz.

Michalisiuk cyknął śliną przez zęby.

— *Człowik*!

— Szmykajmy w prawo.

— Uch — tam!— *Szczo* on ne *dużij!* — *Chodim* pane!

— Chcesz do niego! Pilno ci?..

— *Człowik!* — uparł się Michalisiuk.— Chodim! *Wsi ludi!..* Dobrem słowem do *nieho...*

— Idźmy! — warknął pan Tomasz.

— No, *tichońko chodim!*— szepnął stary strzelec i zgiąwszy się nieco jął następować szybko na kirasjera.

Podporucznikowi dech zamarł. Chwili nie miał do stracenia. Skupił się w sobie, poprawił w ujęciach sęczaka. Michalisiuk czegoś zatrzymał się i w sakwie szukał. Pan Tomasz wzniósł pałkę do góry...

Ręka mu zadrżała... Był to mord, mord niegodny oficera, żołnierza, napaść z tyłu, podła nikczemna napaść...

Lecz obocześnie zadźwięczał podporucznikowi w uszach wyraz „wojna“ i oczy mu złym blaskiem wypełnił, usta wykrzywił szyderczo, mięśnie stalą przejął.

Podporucznik szarpnął ręką, — gdy tuż, z pod nóg prawie, padł strzał... Kask kirasjerski zniknął za krzem.

Pan Tomasz spojrzał krwią nabiegłemi oczyma.

Michalisiuk opatrywał flegmatycznie guldynkę i mruczał.

— *Szczo*, pane, *dobryj buw człowik! Wsi dobry ludi!*

(d. c. n.)

AFORYZMY WSCHODU.

(Z japońskiego)

I

Nie sztuka umrzeć, sztuka żyć
wśród słońca, barw i woni,
każdy potrafi w ziemi zgnić,
nie sztuka umrzeć, sztuka żyć...
Mocno zasady tej się chwyć,
śmierć cię i tak dogoni —
nie sztuka umrzeć, sztuka żyć
wśród słońca, barw i woni.

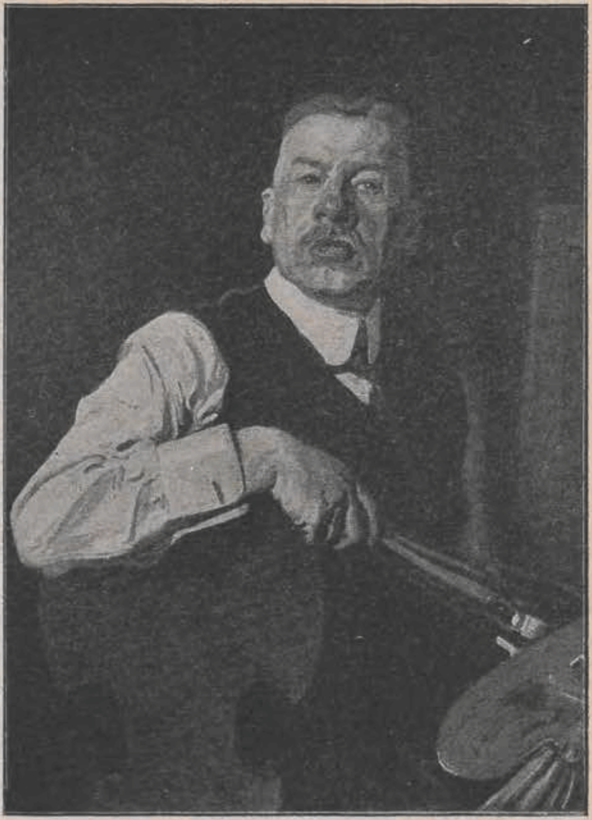
II

Miecz ozdabia męże,
a niewiasty — kwiat,
„kwiatem cię zwyciężę“
„mieczem!“ — mówią męże...
Różnią się oręże
od niepomnych lat —
miecz ozdabia męże,
a niewiasty — kwiat.

III

W herbaciarni rycerz-gejsza,
wojuje nielada,
choć bez miecza, co dziwniejsza,
w herbaciarni rycerz-gejsza...
Im piękniejsza i zwiewniejsza,
łatwiej cię układa —
w herbaciarni rycerz-gejsza
wojuje nielada.

Remigiusz Kwiatkowski.



Stanisław Lentz. Autoportret artysty.

WIKTOR GOMULICKI.

9)

Walc nocnych mgieł.

Widzę ich długie, cienkie, galaretowate ramiona. Przed siebie je wysunęły, nakształt macek głowonoga. Świat cały, zda się, pochwycić chcą i zdławić.

Do chat, w ziemię zasuniętych zazierają — do chat, grobom podobnych, mchami i pleśnią zielonych...

Gdzie u szyi matczynej wiesza się blade dziecko, do którego z kolan Przenajświętszej uśmiecha się mały, dobry Jezusek, tam ciągną najtłumniej, najchciwiej...

I tam, gdzie bezsenność odmyka zmęczone oczy starca, a słup księżycowej jasności wydaje mu się gościńcem, po którym ze świata odejdzie...

I tam, gdzie słodki, miłośny obłęd przetrawia słabą pierś dziewczyny, u okna każąc jej siadać i płakać...

I wszędzie, gdzie na rumianym lub zielonym owocu życia czerni się plamka mała — świadek toczącego wnętrze robaka.

Idą, ciągną, wzdłuż i wwyż się rozrastają. Dopiero czołgały się po ziemi, jak

płaz miljonogłowy, już czołem wierzchołków leśnych dosięgły.

Skryta, milcząca zawziętość tai się w ich pochodzie, morzu wzbierającemu podobnym. Z ich kształtów miękkich, podatnych, księżycem osrebrzonych, tchnie powab niezdrowy, co odurza i obezwładnia.

Idą wprost na mnie wrogie, okrutne, nieubłagane. Idą ciche, zatajone i zawsze, zawsze pełzające...

Zabrały mi blask księżyca, zakryły światło chat dalekich; pomiędzy mną a światem żywych całun śmiertelny rozwiodły.

Nic już nie widzę, tylko gibkie, wężowe, wijące się i rozpływające kształty. Już zimne usta w twarz się moją wpiły, już lodowate objęcia szyję mi ściskają. Już taka głucha, dławiąca, beznadziejna cisza w duszę zapada, jakby to był koniec wszystkiego.

Nagle w miejscu się zatrzymały. Wiatr powiał — w prawo i w lewo niemi zakołysał. Chwieją się zwolna, rytmicznie. Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy...

Nieznacznie zastęp, szańcowi podobny, spoistość traci, wydłuża się, rwie...

Oto już na mniejsze obłoczne bryły poszarpany. Oto już co było lawiną, lotnych widziadeł jest rojem.

A te bryły, te widziadła wirują, wirują...

Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy...

Jest w nich wdzięk zawrotny, i jest groza, włosy na głowie podnosząca. To wirują córki Herodjady, ogniki błędne, zmarłych dziewic dusze — może boginki, może czarownice...

I znów za ręce się ujęły, krąg zatoczyły ogromny, stopami ziemię ledwie muskają.

Nad ich głowami zabłysły indyjskie, z ros srebrnych tkane, szale. W zwojach polotnych skrzą się, falują; wraz z nimi skrzy się i faluje cały pląsający korowód.

Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy...

Gdy na mnie nacierały, uciekałem. Gdy oddalają się, leciałbym za niemi. I przeklinam cielesność swą, na duchu ciążącą ołowiem. Złorzeczę pętom, które mnie trzymają przy życiu, wznieść się nie dając.

Ach! bom ja odgadł tajemnicę powietrznego hufca. On to mi porwał, on to przedemną kryje, on to w zaświaty unosi — moją kobietę...

Jak perła w łonie zamkniętej konchy, jak sułtanka w wieńcu pląsających bajader, tak zatajona przedemną i oczom mym zabrana moja kobieta.

O bólu głuchy, nurtującemu ziemię lawy strumieniowi podobny! O, bólu ostry, szponami tygrysa szarpiący pierś.

Wiedzieć gdzie jest i — dostać się tam nie módz...

O tęsknoto, z tęsknot wszystkich najsroższa!

W ziemię być wrosłym i — widzieć ją, unoszoną w otchłań nieskończoności. O szaleństwo bezsilne, wszystkie męki piekła i czyśćca przerastające!

Krzyczeć chciałem, przeklinać, bluźnić.

Ale mi wąż zimny oplótł serce, stopa szponiasta gniotła pierś; dłoń stalowa gardło ściskała. Dusiła mnie żółć. Martwiałem, wściekłością dławiony.

A tam ramiona bajader splatają się i rozplatają. Gibkie, wężowe członki gną się jak powoje; przez mleczne ciała księżyc prześwieca; nad głowami indyjskie szale skrzą się brylantowo.

Wszystko wiruje, wiruje, wiruje...

Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy...

Nagle — ciemność, pustka, nicość, grób.

Zniknęły moczarów duchy, zniknęły pląsające widziadła, zniknął bajader chór, zniknęła *ona*.

Niechże i mnie otchłań porywa!

— — — — — — — — — — —

Rzucałem się, jak szaleniec, na estradzie, szarpiąc za ramię grubego niemca w okularach, starannie chowającego do futerału batutę hebanową ze srebrnem okuciem.

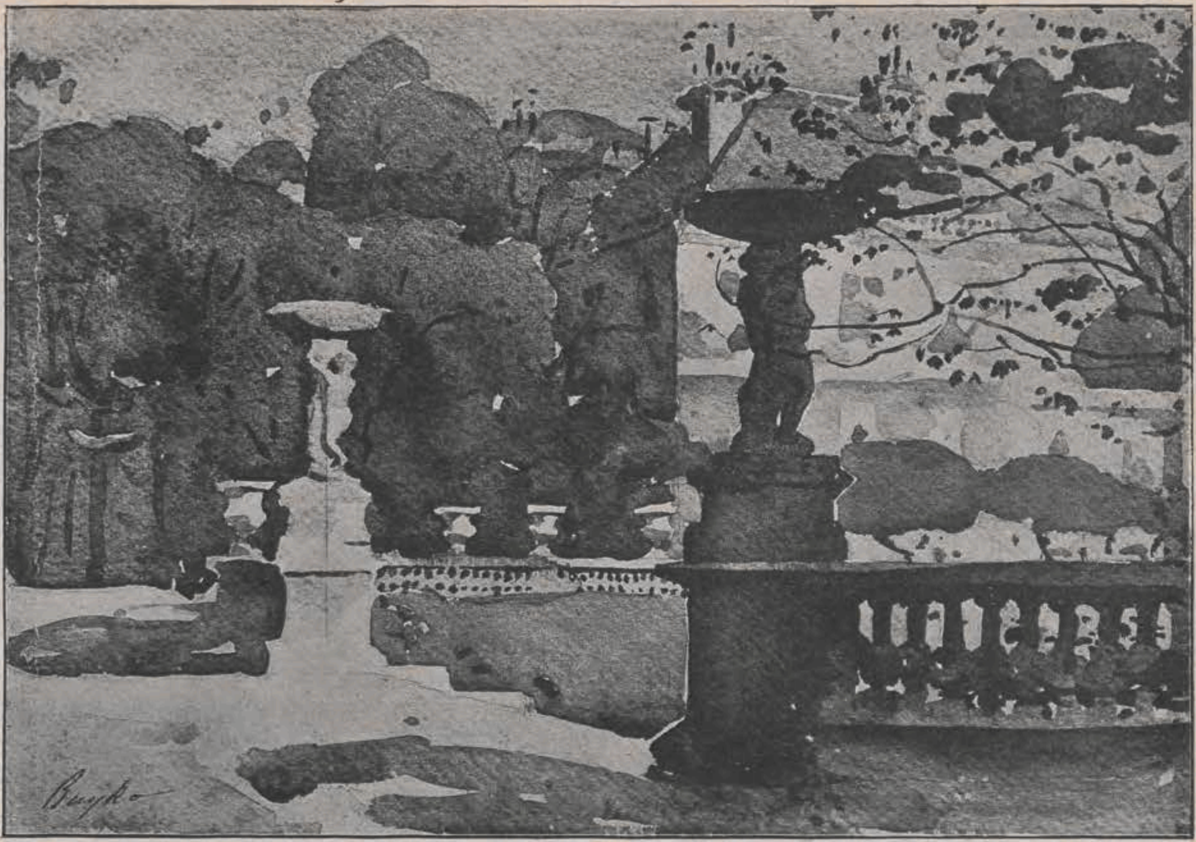
— Co to było?.. Co to było? — rwały mi się z ust zapytania napół nieprzytomne.

Niemiec przez błyszczące soczewki badać się zdawał: czy ma przed sobą ostry wybuch obłędu, czy też jego stan przewlekły? Musiał dobadać się czegoś zgoła innego, gdyż wyraz twarzy nagle odmienił.

— Pan pyta o walca? — tak dobrotliwie i spokojnie wyrzekł, jakby rzecz szła o kiełbasę z czosnkiem, lub knedle ze śliwkami.— To był „Walc nocnych mgieł“. Bardzo ładny kawałek — sentymentalny... Jednak publiczność...

— Co tam publiczność!.. Tak, wiedziałem, że to inaczej nazywać się nie może. Ale nie o nazwę chodzi. Powiedz mi pan: kto stworzył tę rzecz okropną? To nie jest muzyka: to jest krzyk—krzyk duszy. A wiesz pan czyjej duszy? Ha, ha, ha — mojej!

— No, no... — dziwił się pobłażliwie tłuścioch, zamykając futerał pięknym błyszczącym kluczykiem na jedwabnym sznu-



Bolesław Buyko. (Tow. Z. S. P.) **Ustronie w parku.**

reczku. — Ja widzę, że pan entuzjasta. Pan pewnie pisuje do *Jugend*, do *Ver sacra*. I przytem na tem, co piękne, pan się zna. Muszę zaś wyznać, że wśród publiczności kąpielowej takich niewielu. Da pan wiarę? — w tym sezonie owego walca zagraliśmy dziś po raz pierwszy...

— Aby mi serce rozkrwawić!.. Aby mi resztę spokoju i równowagi odebrać!..

— No, no...

— Pytałem o twórcę...

— Tego walca?

— Tej okropności.

— No, no... Chciałby pan mu powinszować?

— Tak. A potem — zabić go.

— *Herr Jesus*! No, no... I za cóż to?

— Za to, że mi najskrytszą tajemnicę z serca wykradł, że ją przez trąby, skrzypce, flety światu całemu na żer i urągowisko rzucił!...

— Tak, tak... Pan z pewnością do *Jugend* pisuje. I niezawodnie wierszem. A co do twórcy walca, to pan się myli: ani on pana nie zna, ani pan jego.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIE.

2) NOWELA.

(Dokończenie).

A jednak zajmowało go ich życie. Poprostu tęsknił za ludźmi.

Wtedy wychodził na wjazdowy ganek, skąd leciał radosny, cudny widok, poprzez wystrzępioną taśmę górskiej drogi, nad wsią do stoków przysiadłą, — na góry faliste, kożuchem lasów przykryte, śniegiem otulone a w słońcu, tęczami blasków grające.

Marsowy, sztywny, w czarnej kurcie, zwracał opaloną, bronzową twarz, siwym zarostem, niby srebrem inkrustowaną i niebieskiemi oczyma patrzył przenikliwie na wlokących się po drodze górali.

Łajdak jeden z drugim —warczał wuj— nawet się nie ukłoni.

I zły jak pieprz, z pogardliwym uśmiechem na szerokich, feodalnych ustach, zawracał do swej pracowni.

Pracownia miała dość osobliwy charakter.

„Baterja“ tj. przepaścista kanapa i głębokie fotele skórzane, na których można było siadać w kilka osób, szafa z apteczką polową, z butlami karbolu i z jodoformem (zdaje się jedyne perfumy, jakich wuj uży-

wał) stanowiły coś w rodzaju doktorskiej poczekalni.

Wielkie biurko, z niezliczoną ilością pustych szuflad, obite ogromną „łąką“ zielonego sukna, przetak czy sito przepikowane kijami bilardowymi, czyniły ów pokój podobnym raczej do jakiegoś klubowego lokalu.

I istotnie odbywały się tu nasze klubowe posiedzenia.

Tak już to wuj zaprowadził.

Można było nie „stawić się“ na obiad, pierwsze śniadanie jeść na podwieczorek, można było kolację spożywać nad ranem, ale nie było wolno przepuścić wspólnego posiedzenia o zmierzchu.

Stary ordynans przynosił wytrawną „flachę“ jakiegoś „wińska“, wuj z surową zaciętością gilotynował odpowiednią ilość cygar i pogmerawszy w ogniu kominka, zasiadał na prezydjalnym fotelu.

Za oknami wydziwiał głuchy, mroźny, szalony wiatr, ciskał się między sine czuby gór, wył hutnie na przegonach i znów zawracał pod dom i zziajany dzwonił o szyby.

Godzina była czujna, dziwna, rozstajna,— pożegnalnie-przywitalna.

Żegnał się dzień, witała noc.

Ogień zachodu leciał z gór i kostniał na łęgach. Aksamitny fjolet lasu, tkany gronostajem zwiewnych śniegów, wzorzył się daleko [wkrąg, podpalony] na rubieżach horyzontu świetlistym obrębem szczytów.

Wiatr trząsł ogrodem w konające blaski przybranym. Tyrpał go, burzył, mierzwił i strzępił. Z krzaków, z chochołów, z osędziałych drzewin do kamienistej gleby łapczywie uczepionych, wiatr strzępił, niby przędziwo dziwne, niby zwitki i listy śmiertelne, niby białą przędzę niepamięci — kosmyki śniegu.

Było nas wtedy w gościnie u wuja trzech.

Mój brat, literat, którym pułkownik otwarcie gardził, zowiąc skrybą lub „smarowozem“. Literatów bowiem, na równi z kuglarzami i ekwilibrystami, stawiał w rzędzie błazenków, żyjących z jałmużny. W głębi ducha uważał ich za ludzi zupełnie zwyrodniałych i upadłych.

Drugim byłem ja. Otóż mnie, początkującego agronoma, wuj znosił cierpliwie, jako użyteczne zwierzę pociągowe.

Trzecim był nasz kuzyn, panicz z miasta. Ten ostatni zajmował teraz żywo uwagę pułkownika, bo wkrótce miał odbyć wojskową służbę w którymś pułku ułanów.

Stary wojak, patrząc z bezdennym niesmakiem na pielęgnowane ręce panicza, trzaskał z uciechy w palce na myśl o torturach, jakie czekają miejskiego nygusa w pułku.

Tymczasem nygus, rozwaliwszy się w karle, dmąc gorzki dym z malutkich, słodkich ust, ręce po łokcie wsadziwszy do irchowych kieszeni sportowego ubrania, zastanawiał się głośno nad tem:

— Czy, kiedy i dlaczego kobieta płacze szczerze, a kiedy nieszczerze?

— Chyba nie płacze wtedy, kiedy się z takim, jak ty, bałwanem, rozchodzi — przerwał mu wuj.

— No, — odciął kuzyn, podnosząc na wysokość okna białą, wązką rękę — chciałbym mieć tyle koron, ile przez te palce łez pociekło.

— Wypłakanych przez ciebie samego za dwóje w sztubie — zaśmiał się literat, który znał legiendarną wprost nieśmiałość panicza.

Zaczęliśmy się przekomarzać między sobą w czem wuj nie brał żadnego udziału. Osnuty dymem cygara patrzył na siny blask z ogrodu, to w płonące na kominie ognisko.

— Ja — przerwał nam nagle — raz tylko w życiu zakosztowałem tego, co kobiety i literaci nazywają łzami.

Przycichliśmy, pobłażliwie ciągnąc z kieliszków.

— Tak jest. Raz w życiu. Raz się człowiek rodzi, raz umiera, raz w życiu, jak to rozumieją chłopy szwajcarskie, kobiecie kwiaty daje, no i raz w życiu może zapłakać.

Poruszył się na krześle.

— Nie tak, jak wy, rozwydrzeni, rozślimaczeni, rozanieleni, sadło sercowe, paskudne trutnie, żaby!

Literat nalał mu wina, sobie też, trącili się, przepili i wuj, tchnąwszy dymem na cały pokój, machnął ręką:

— Wszystko poprostu. Byłem wtedy, niedołęgo jeden z drugim, już porucznikiem. Staliśmy z pułkiem w Tyrolu. Poprostu. No, i stoimy. — I mieszkamy. — Gdzie kto może. Koń. — Musztra. — Ćwiczenia. — No, mówię wam...

Ogromnemi rękami począł kreślić w powietrzu.

— Więc, niby Tyrol. Doskonale. — Z góry na dół, albo naodwrót. — Doliny,

góry, słońce, woda, słowem krajobraz! — proszę siadać. — Zwłaszcza rano i wieczorem.— Moje okno na górę patrzy. Od samego świtu—panorama!—Płacę, najregularniej w świecie. — U jakiegoś radcy pocztowego. Stary gnieciuch, — obojętne. — Do dzieci mieli nauczycielkę. — Patrzę. — Niemożliwe. — Tak jest. — Wszystko jedno.— Wszystko skończone. Bac!!

Pułkownik krzyknął, ażeśmy drgnęli.

— Zakochany jestem, że, moje uszanowanie.— Polka. — Widzę, że źle już mówi po polsku. — Mówi mi, że „jeszcze“ źle. — Obojętne. — Na imię—Wanda. — Imię... Cóż do pamiętnika wciągnąć, na słupie telegraficznym wyrżnąć, — bo niby co?! A przecie — imię. — Ja i Wanda. — Tam nigdy nie była. Tam — chce wrócić. — Wnet wróci. — Do kraju. — —

Tłumaczę: Też dawno nie byłem. Może już nigdy nie będę. — Oświadczam się. — Świat jest wogóle wszędzie. — Milczy. — Pytam: Nie? — Powiada: Nie.

Pułk, przyszłość, karjera, zresztą, cóż znowu!! — Idziemy drogą, na pożegnanie, — pod górę. Księżyc, — poprostu — famos—opera, ostatni akt.

Tłumaczę. — Pytam: Nie? Powiada: Nie. — I łzy.

Jutro wymarsz. Rano. Bestje ptaki od świtu. No—muzyka. —Wyłażę. Stoję w ogrodzie. Róże, rosa, kwiatki, — uf, ta cała sałata. Wiem, że w tym domu jest ona. Łatwo mówić. — Nie można mówić...

Wyszedłem z furty. Po drugiej stronie drogi skłon. Ogrodnik sadzi szkółkę.—Nigdy w życiu nie pisałem, nie grałem, nie malowałem. Niema rady. — Idę. — Tkam szelmie w łapę papierek i mówię mu: Wszystko jedno, żeby między sosnami — tego... żeby na szerokość szkółki, brzozą wysadził jej imię.

Minęło. — Zapomniałem. — Lata szły. — Kapitan, major, podpułkownik.

Wuj siadł okrakiem na krześle.

— Nie takim zawalidrogom jak wy słuchać, jakim byłem oficerem. — Pułkownik!!

Aż szyby się zatrzęsły, tak wykrzyknął.

— Dowodzę pułkiem. — Ale nigdy nic nie wiadomo. — Przypadek...

Na przedostatnich manewrach. — Zdrożeni jesteśmy, jak psy. Lepiejby konia na plecy wziąść i ponieść, niż o to siodło stukać. — Góry powarjowane. — Deszcz, wicher, zimno, — do szpiku kości. Drzemiąc, człapiemy do miasteczka. Jesteśmy. — Budzę się rano. Słońce, ptaki, wiosna, zapach. Okno otwarłem. Naprzeciw — las. Las, — mówię — wznosi się na górze. Twardy mur sosen, przewiązany jasną, wiotką zielonością — na wskroś.— Oczy przecieram. — Nie może być?! Być może. — Jakieś, coś, kwitnie, jakby napis rozrośnięty. — Czytam. Między sosnami płynie i drży zieloną, płochą strugą: Wanda.

Natychmiast pojąłem: Żem już stary. Ja, pułkownik, stoję w oknie i płaczę.

A po chwili, i dopiero wtedy: że zgubiona narzeczona, — — Ojczyzna... Zryczałem się, jak bóbr.

Pułkownik wstał, obciągnął kurtę i mijając nas, z dźwiękiem ostróg, jakby w rozdźwięku złotych kajdanek podszedł ku oknu.

Z krzaków, z chochołów, z osędziałych drzewin wiatr strzępił, niby przędziwo dziwne niby zwitki i listy śmiertelne, niby białą przędzę niepamięci — kosmyki śniegu.

Juljusz Kaden.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

10)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Jedno dziewczę tylko, do fraucymeru chorej pani należące a dla wesołości swojej i śmiechu nieustannego, jako też dla postaci malutkiej „Perełką“ zwane, wołane czy nie wołane, byle czas miało a oko pani ochmistrzyni na siebie nie zwrócone — wbiegało do posępnej komnaty wojewodziny — i przypadało do piersi pani chorej, do jej przytulało się kolan, pocieszając, pieszcząc i całując opuszczoną. I nikt nie widział, jak ręce pięknej pani miękko, pieściwie bawiły się ze złotym warkoczem dziewczyny, jak nieraz łzy ze łzami, ramiona z ramionami się splątały — i biegł szept cichy, może modlitwy a może wyznań serdecznych. Wtedy spokojniej oddychała chora pierś pani Dominiki; szczęśliwą się czuła, że ma przy sobie choć jedne serce kochające, choć jedną duszę siostrzaną. Perełka wiedziała jaką ulgę cierpiącej sprawia i nie rada była odchodzić od jej łoża. To też ją wypłaszał z izby tylko cięż-

ki krok wojewody, w dalekich zasłyszany komnatach.

Różnym fluktom i planet obrotom przypisywano tę chorobę pani Włodkowej, a ona wypłynęła najpierw z duszy schorowanej a później ciału się udzieliła. I jaką mogła odpowiedź dać wojewodzina na natrętne pytania lekarzy i znachorek?.. Nie skarżyła się na ból żaden, jeno na smutek i strach wewnętrzny, który ją snu i spokoju pozbawiał. Pytany wojewoda, ramionami tylko wzruszał a głęboka bruzda rysowała mu czoło. Stawał przy łożu żony i przymrużonemi lekko oczyma patrzał na milczącą, której twarzyczka bladła, oczy rozszerzały się, strachu pełne i bólu. Wojewoda chciał tkliwość pewną małżonce swojej okazać a nie wiedział, że ją tem spojrzeniem—zabijał.

Najlepiej jej było, gdy otaczała ją cisza niepokalana nocy; gdy nie przychodził nikt do niej i nikt się nie dowiadywał. Głębokie, ciemne jej oczy, koloru morza, patrzyły wtedy w szarość kamiennych murów, z których co chwila wyłaniały się jakieś tęcze i fale świetlane, rozchodziły się w koła ogromne, bielały, wysrebrzały się, lekkie, przezrocze, powiewne, niby mgły, niepowiązane w pasma jednolite, niby, nie urodzone jeszcze, ale już rodzące się sny. I oto jakiś wiew polatał, rozrywał koła, pasma rozplątywał, zmieniał kształty widziadeł, wyraźniejsze rysy i formy im nadając. Rozsuwała się dal gwiaździsta, wylana kryształem błękitów; coraz dotykalniejszy stawał się wiew skrzydeł anielskich, rozlegała się pieśń cicha, senna a piękności niezwykłej, przez ziemskie nie pochwycona ucho, przez ziemski nie zrozumiana umysł. I oto nadchodziła chwila czaru, chwila niewypowiedzianego zachwytu: niebo, gwiazdy i pieśń i anioły spływały ku niej bliżej, bliżej, kładły się na pierś i na usta, owijały ją całą, jak macierz dobra niemowlę swoje w pieluchy. Czuje skrzydła anielskie wszędzie, a gwiazdy spadają ciche, złote, a każda z tych gwiazd śpiewa, a każda z tych gwiazd całuje, niosąc ukojenie i spokój. Usuwa się ziemia—maleje—niknie — w głąb zapada, a miękkie, ciepłe, wonne i śpiewające skrzydła aniołów unoszą ją w dal rozwidnioną, w bezmiar przestworza...



Antoni Gawiński. Do powieści „Stare lwy".

Ksiądz pleban, prowadzony przez Przemka, wązkie, długie i ciemne przechodził korytarze...

Błękity—błękity — błękity —

Cisza —

Spokój —

Czar wieczności!..

Nie budźcie!.. nie budźcie!..

O, duszo!.. nie pozbyłaś się jeszcze więzów cielesnych, ciężar ciała na ziemię cię rzuca.

Stuk kroków... Skrzypienie drzwi. Mąż wchodzi.

Nic jej tak nie przerażało, jak zasłyszenie miarowego rytmu tych kroków mężowskich, jak to wejście małżonka i pana i zatrzymanie się jego przy łożu. Czuła się wtedy ciężarem, jakimś sprzętem zawadzającym, na który patrzą, do którego mówią: „Usuń się!..“ A tu usunąć się ani zniknąć nie można.

I dziś, gdy wszedł i nad jej łożem stanął, dreszcz nerwowy blademi poruszył jej usty. Śliczne powieki podniosły się, śliczne oczy ze strachem spojrzały na męża. Twarz blada zbielała nagle, jak księżyc, obłokiem przykryty.

Wojewoda patrzał chwilę na tę twa-

rzyczkę o blasku miesięcznym, na te oczy szeroko otwarte i przerażeniem patrzące...

Pochylił się — i spytał:

— Jakże się czujesz dziś, Dominisiu?

Wysunęła rękę z pod śniegu koronek i drżącymi palcami dotknęła ręki mężowskiej.

— Przebacz — szepnęła — —

— Co mam ci przebaczyć, Dominisiu?

— Że dręczę ciebie... tak długo — —

— Choróbsko temu winno, nie ty, Dominisiu!.. Ale jakże się czujesz dzisiaj?

— Źle... bardzo źle!.. i żyć nie można i umrzeć nie można — —

— Oto właśnie!.. abyś się już raz zdecydowała tak, czy owak!..

— Gdyby to odemnie zależało!

— Tobyś pewnikiem do królestwa niebieskiego nie pośpieszyła, lecz choć przez pół dnia na ziemi byś chciała pozostać — —

— O nie, nie!—zawołała porywczo — —

Rzęsiste łzy potoczyły się z oczu pani wojewodziny.

— Nie desperuj, Dominisiu! a na uwadze miej, jakie to nam rozkosze Pan Jezus obiecywa w królestwie niebieskiem, których ani oko nie widziało ani ucho nie słyszało, bo to i kompanja aniołów i sam Bóg Stworzyciel, *in persona*, pojawi się kiedy niekiedy na królewskich salonach swoich, a i muzyka ma tam niezgorsza być, jak to świadomi tych delicji powiedają. Nie desperuj, Dominisiu! wżdy człek żaden na ziemi wiekować nie może.

Pocieszywszy tak małżonkę, krokiem powolnym wyszedł z komnaty.

Pani Dominika gwałtownym wybuchnęła płaczem.

IV

Ksiądz pleban, prowadzony przez Przemka, wązkie, długie i ciemne przechodził korytarze, jako, że izba, którą przed chwilą opuścili, na drugim krańcu wielkiego dziedzińca była, wprost wjazdu głównego, gdzie na wieżycy strażniczej przez noc całą paliło się światło a u wrót dwuch halabardników czuwało zawsze. Ażeby módz zamek opuścić i wyjść na gościniec, potrzeba było wpierw straży się opowiedzieć, zawezwać klucznika, zbudzić mostowego, by łańcuchy, zawinięte na koła przybronne odkręcił, jaki taki napiwek im dać, co zawsze sporo czasu zabierało i nie obywało się bez pomrukiwań „starego konia“ — (jako to we dworze pana Jana Korytkę zwano) — opuszczającego z postękiwaniem mieszkanie swoje na wieżycy i dzwoniącego kluczami a schodzącego ciężko po schodach kręconych. Dla uniknięcia więc tych niedogodności, gdy ksiądz pleban zwrócił się był do Przemka z zapytaniem: zaliby nie mogli innem wyjściem z zamku się wysunąć? — ten rzekł, że tylną furtą go wyprowadzi, przy której, nie mrukliwy starowina klucz dzierży, lecz chłop o byczym karku a sile niedźwiedziej, skąd też i do plebanji o parę stajań jest bliżej, potrzeba jeno przejść korytarzami bocznymi, wedle babieńca, oddanego pod nadzór, znanej ze srogości obyczajów i pilnowaniu tychże, jejmość panny Kunegundy Sromnickiej, niewiasty półwiekowej już dojrzałości. Ksiądz pleban zżymnął się i niby pień stanął, tak mu się ona peregrynacja nie spodobała, ale Przemko, znający zwyczaje tu panujące, upewnił dobrodzieja, że panny, w srogą kuratelę wzięte, śpią już od godzin dwuch, przesuną się tedy bez żadnej a żadnej przeszkody, jak duchy nieuchwytne i niedojrzane.

Ksiądz pleban, spojrzawszy na siebie, wątpiąco trochę głową pokiwał. Nie imaginował ducha o korpulencji takiej, chodzie nieco przyciężkim i z zadyszką w piersi. Łatwiej też było Przemkowi przesunąć się cicho przez korytarze o podłodze kamiennej, mającemu miękkie półbutki na nogach, niż jemu w ciężkich, palonych buciskach, brytnalami podkutych. Na palcach musiałby iść, ścian się trzymając, by ekwilibrum nie stracić i niepotrzebnego harmideru nie narobić, co połączone też było z fatygą i nieznaną mu wcale sztuką choreograficzną. Pomedytowawszy jednak chwilę a w duchu szepnąwszy: „Raz kozie śmierć!“ zgodził się wreszcie na propozycję Przemka — i — podkasawszy rewerendę, by łatwiej mógł krok bociani stawiać, a rozczepierzonemi rękami macając obie ściany korytarza dla równowagi: posunął się za Przemkiem, dech w piersi zapierając, co już wcale zbyteczne było, bo nie mogąc zbyt długo bez oddychania zostawać, wypuszczał nagle powietrze z sapaniem tak okrutnem, że Przemko obracał się szybko za siebie, myśląc, iż gdzieś wór pękł, suchą słomą nadziany.

Przemko szedł przodem, unosząc w górę pochodnię i świecąc — za nim, krokiem bocianim, posuwał się ksiądz pleban.

(d. c. n.)

W poszukiwaniu drogowskazu.

W miarę, jak wzrastać poczęła reakcja, zaczęły się odpowiednio do tego wzrostu kurczyć programy naszych żądań politycznych. Żądanie autonomji—pocichutku uprzątnięto, jako utopję i na miejsce tej „fantasmagorji wstawiono „realny“ postulat samorządu. Wiele, wie-



Józef Lange
autor broszury „W poszukiwaniu drogowskazu“.

le spraw z tego samego powodu ulotniło się ze sfery politycznej, co więcej, uważano, że takie „uprzątnięcie“ jest nieodzownym taktycznym wskaźnikiem. Mądrość polityczna nakazywała uprzątać, ale to nie znaczy, że taż sama mądrość każe wyrzec się w głębinach serc drogich marzeń lub pragnień. Stworzono podwójną miarę, podwójną miarę kazano stosować, chciano różnymi łokciami mierzyć życie zewnętrzne i wewnętrzne. Wskrzesł Konrad Wallenrod — za dni rewolucji w głośnych okrzykach wolnościowych pogrzebany, a nawet z pompą... poniechany. Zdawało się bowiem wtedy, że już nie powrócimy do starych czasów Apuchtinowsko-Gurkowskiego regime'u. Rzeczywistość jednak przyniosła rozczarowanie... rozczarowanie zrodziło rezygnację... rezygnacja zaciążyła nad dalszą psychologją. Ktoś ze złośliwców określił nasze życie współczesne, jako „międzyczasy“. Ani to, ani owo! Nie wiadomo co, nie wiadomo jak — jednem słowem życie bez żadnych orjentacji, bez żadnych drogowskazów. Szeregi rozbite...

Pomału jednak zaczęto się znów gromadzić i tu właśnie zaszedł fakt niebywały, niespodziewany. Zgromadzono się, by znów się rozejść. Niezadowolenie tak przegryzło wszystkim nerwy, że nie mogło być mowy o żadnem porozumieniu. Dotychczas ten okres trwa. Poszczególne jednostki dają inicjatywę, nawołują, lecz ogół jeszcze nie ochłonął z wrażeń przeszłych.

Jednym z ważnych problemów, narzucających się każdemu społecznie myślącemu człowiekowi, jest kwestja w jaki sposów trafić do ogółu, jakie wskazać drogi do pracy na przyszłość, jak wreszcie politycznie uświadamiać i czego politycznie żądać. Od czasu do czasu zjawiają się w tej sprawie różne przyczynki, broszury, a nawet całe książki. Ostatnio, jeden z wybitnych postępowców p. Józef Lange wydał broszurę, w której usiłuje wszystkie szkopuły rozwiązać, rzeczowo wyświetlić trudności w polityce dnia, jak i w pracy ogólno-kulturalnej. Broszura ta nosi tytuł „Wposzukiwaniu drogowskazu“, wstęp do programu politycznego. Ciekawe, że właśnie wraz z zjawieniem się tej broszury, choć niezależnie od niej, dyskutują w prasie też same zagadnienia p. p. Koskowski i Grużewski. Artykuły, jako „Hasło pracy“, „Fantazje polityczne“— (Goniec, Kurjer Warszawski) ścierają się w zasadniczych swoich poglądach o wskaźniki polityczne, o które chodzi też p. Langiemu. Rzecz zrozumiała, że w broszurze p. Lange ma możność omówić cały splot kwestji, a p. p. Koskowski i Grużewski wybrali tylko jedną sprawę, ale za to— zasadniczą. Chodzi o to, czy mamy tylko kontynuować pracę organiczną, czy też politycznie działać, nie zrzekając się tej pracy. P. Koskowski jest zwolennikiem pracy organicznej. Widzi w niej jedyną busolę w działalności społecznej. „Goniec“ rozumie się, że prostował te „organiczne“ wskaźniki p. Koskowskiego. I nie powinno to nikogo dziwić. Gdy niema w kraju opinji politycznej, sam proces ekonomiczny może doprowadzić do fałszywych, niepożądanych dla narodu wyników. Pan Grużewski sądzi nawet, że może przynieść skutki wręcz antynarodowe.

Dyskusja jednak nie wyczerpywała wszystkich atutów. Dopiero głos Czesława Jankowskiego w jaśniejszem świetle sprawę ukazał. Pozornie zdawało się z artykułów p. Koskowskiego, że chodzi mu o wszelką negację myśli politycznej na korzyść pracy organicznej. Pan Jankowski wyjaśnił natomiast, że niemożliwą jest praca organiczna bez polityki. Przecież nasze żądania autonomiczne były stawiane tylko dla tego, by dać możność rozwojowi naszych prac organicznych, kulturalnych. Rozumowano wtedy, że bez autonomji nie możemy prawidłowo rozwijać naszych ekonomicznych, kulturalnych sił, a więc przez autonomję polityczną zdobylibyśmy ekonomiczną, kulturalną możność dla pracy. Jestto przecież pewnik tak oczywisty, że chyba tylko „organicznicy“ nie czytujący ekonomji politycznych mogą marzyć o pracy organicznej bez jednoczesnej walki politycznej. Polityka, ekonomja—ekonomja, polityka — to dwie strony jednej i tej samej tarczy walczącej. Niech więc się nie zdaje „organicznikom“, że można kulturalnie, ekonomicznie coś dla narodu pozytywnego czynić,





Czesław Jankowski. **Bolesław Koskowski.** **Tadeusz Grużewski.**
Z powodu dyskusji nad zagadnieniami pracy politycznej.

jeżeli jednocześnie nie będziemy pracowali politycznie.

Pan Lange podziela w zupełności to rozwiązanie, a właściwie rozumienie pracy organicznej. Ideały romantyzmu, mesjanizmu są mu też obce, jak również obcemi są te marzenia polityczne dla p. Jankowskiego. Otóż „Goniec“ należy do rzędu tych organów, które tradycje polityczne romantyzmu uważają za jedną z najświętszych spuścizn duchowych, aczkolwiek nie zrzekają się i pracy organicznej. W ten sposób reprezentuje się jakgdyby syntezę pragnień polskich. Boć przecież w interpretacji Jankowskiego, jak również w rozważaniach innych „organiczników“ tkwi wallenrodyzm. Dopiero w rozważaniach „Gońca“ mówi się całą prawdę dążeń, a równocześnie bierze się pod uwagę pracę nad kulturą, nad ekonomiczną organizacją kraju, oraz szuka się metod zastosowania, wprowadzenia w życie dążeń programowych.

Głos p. Józefa Langiego w pedagogice społecznej, jaką należy stosować, by wychować na przyszłość obywateli — wydaje mi się bardzo pożądany. O ile nie zgodzilibyśmy się na jego założenie polityczne, gdyż stoimy stanowczo bliżej dążeń „Gońca“, niż „autonomicznej pracy organicznej“ p. Jankowskiego, tem nie mniej uważamy, że wszystkie rady, za pomocą których chciałby Lange „obudzić“ społeczeństwo, chciałby je wychować, są dobre. Chodzi mu o podniesienie poziomu umysłowego mas, chodzi mu o stworzenie literatury społecznej i ekonomicznej, o zainteresowanie się teoretyczną stroną prawodawstwa i prawa, o zawiązanie stosunków naukowych z wszechnicami polskiemi innych państw. Wszystko to są żądania, których zrealizowanie, może wpłynąć bezwątpienia na podniesienie się świadomości obywatelskiej i politycznej. Pan Lange kładzie duży nacisk na te wymagalniki, gdyż twierdzi, że oprócz objektywnych przeszkód, np. warunki polityczne, mamy bardzo wiele subjektywnych zespołowych przywar, które tą drogą będziemy mogli usunąć. Poszukując więc drogowskazu politycznego, odnalazł p. Lange sposób, za pomocą którego powinniśmy „trafiać“ do ogółu, na czem powinniśmy opierać naszą polityczną działalność. Jest to drogowskaz nie zawsze do przyjęcia, ale jeżeli chodzi o tak zwaną kulturalną stronę — to zgodzić się z szanownym autorem musimy. Trzeba bowiem podnieść u nas poziom kultury, poziom świadomości ogólnej, ale nie należy zapominać i o uświadomieniu politycznem. Ramy polityki autonomicznej są koniecznością chwilową, (właściwie narazie jeszcze samorząd nie jest rzeczywistością rozważań politycznych!) Co jutro przyniesie nikt wiedzieć nie może, należy więc społeczeństwo przygotować do rozległych perspektyw politycznych. W sądzie politycznym, niech obok teraźniejszości, przeszłość i marzenie o przyszłości znajdzie dla siebie miejsce. Wtedy będziemy mogli powiedzieć, że uświadamiamy, że czynimy, pracujemy dla kultury, polityki, przyszłości narodu. Powinniśmy to tembardziej mieć na oku, że zbliżają się wybory do czwartej dumy państwowej, a więc niech praca „organiczna“ nie przesłoni nam swoją „ważnością“, naszych politycznych dążeń.



Scena z „Irydiona“. Irydion i Masinissa.

Irydion. — Teatr.

Zbliżał się jubileusz urodzin wielkiego poety i teatry rządowe warszawskie nie ukazały naszej publiczności świetnego blasku poezji Irydionowej. Dopiero teatr prywatny musiał wystąpić z inicjatywą.

Teatr prywatny Zjednoczony wystawia „Wesele“, „Dziady“, „Ugłaskanie Sekutnicy" — dąży do pokazania publiczności stylu, chce budzić uczucia zupełnie celowo i świadomie.

Ach, gdyby i w teatrze rządowym wystawiono na wielkiej scenie „Irydiona"! Gdyby nam pokazano Heljogabala—Wostrowskiego! Ileż wzruszeń byłoby więcej; na maleńkiej bowiem scenie teatru Zjednoczonego, mimo nadludzkiego wysiłku Zelwerowicza i p.Siedleckiego, niemożliwem jest pokazanie luksusowych pałaców, malarskich przepychów, jednem słowem całego bogactwa barwnego środowiska, w jakiem odbywa się dramat duszy Irydionowej. Teatr Zjednoczony uczynił wszystko, by w niczem nie uchybić kultowi, jaki każdy polak powinien żywić dla tego poematu zemsty. Lecz sam pietyzm nie wiele może, gdy niema środków. Scena jest bardzo

płytka, przytem dziwna w swojej architektonice, a więc tylko wielka pomysłowość Siedleckiego mogła wykombinować tak efektowną wystawę, jaką widzieliśmy wieczoru Irydionowego.

Na scenę „Irydiona" opracował p. Gustaw Baumfeld. P. Baumfeld, jest znany jako autor pracy o Gorkim, a przytem wybitny działacz abstynencki i profesor literatury polskiej. Opracowanie p. Baumfelda w zupełności oddaje myśl wielkiego poety. Dramat zemsty rozgrywa się przed oczami widza; każdy etap tragiedji odźwierciadla akcja, rozgrywająca się na scenie. Fabuła podporządkowana jest ideowemu dramatowi i z dowolnością przenosi miejsce akcji, by uwydatnić ciągłość rozwoju koncepcji psychologicznej i moralnej.

Irydion przechodzi przez fazy przeróżnych psychologicznych subtelności w krystalizowaniu się zemsty. Zewnętrzne wypadki są obrazami jego wołającej o zemstę duszy. Zdumiewa jego moc, jego wytrwałość, z tęsknotą wsłuchujemy się w słowa jego przysięgi. Gotowibyśmy wszyscy zaprzysięgać Masynissie — byleby tylko Roma zczezła. Taką nienawiść uświadamia Irydionowa męczarnia! Taką tęsknotę budzi ta pieśń nad trupem Heljogabala!

Artyści teatru Zjednoczonego wywiązali się z zadania wspaniale. Palma pierwszeństwa należy się p. Zelwerowiczowi i p. Arkawin. Pan Zelwerowicz dał tak bajecznie narysowaną maskę Masynissy, że chwilami budziła grozę. Był to szatan dostojny, równy bogom, wszechwładny tak, jak wszechwładni są bogowie Dnia jasnego.

Irydionem był p. Nowakowski. Aktor o przyjemnem brzmieniu głosu, czarował więc swoją powściągliwą, wyraźną, kunsztowną dykcją. Dobrym prawnikiem był p. Orliński. Pani Starska Kornelję odegrała z wielkim artyzmem. Jej okrzyk „do broni" dźwięczy jeszcze dotychczas w naszych uszach, jako pobudka... chrześćjan katakumbowych, co kiedyś muszą przecież wyjść na światło dzienne...

Zasługi reżyserskie i dekoracyjne dzielą p. Siedlecki (art. malarz) i p. Zelwerowicz. W teatrze na przedstawieniu była obecna również rodzina Zygmunta Krasińskiego.



Z. Birnbaum. Kamińska-Latoszyńska. A. Myszuga. A. Michałowski. F. Starczewski. J. Oziminski. P. Maszyński.
(Szkicował podczas koncertu Jan Warunkiewicz).



Michał Boruciński
otrzymał II-gą nagrodę na konkursie historycznym im. Papieskiego w Tow. Z. S. P., za obraz „Śmierć Warneńczyka". (patrz str. 1)

Wielki koncert na pomnik Chopina.

Prawdziwie obywatelskim czynem zaznaczyła się w tym tygodniu Warszawska Orkiestra Symfoniczna, urządzając w Filharmonji wielki koncert na budowę pomnika Chopina. Zarząd orkiestry, składający się przeważnie z ludzi młodych, pełnych zapału i energji oraz umiłowania sztuki, nowy dał dowód że dobra inicjatywa w połączeniu z umiejętnem wprowadzeniem jej w czyn, daje rezultaty zgoła nieoczekiwane. Któż bowiem pamięta tak szczelnie zapełnioną wielką salę Filharmonji, jak to właśnie miało miejsce we wtorek wieczorem. Doprawdy, nadzwyczajnej atrakcji w tym celu potrzeba, nadzwyczajnego programu. Wtorkowy koncert poza programem atrakcyjnym, bo na wykonanie tegoż złożyły się dobre chęci wybitnych sił artystycznych, miał jeden jeszcze wielki czar—wzniosły cel koncertu.

Ten czynnik Warszawa oceniła, dając wyraz w tłumnem stawieniu się na pomieniony koncert.



Pomnik Chopina
podług projektu Wacława Szymanowskiego.

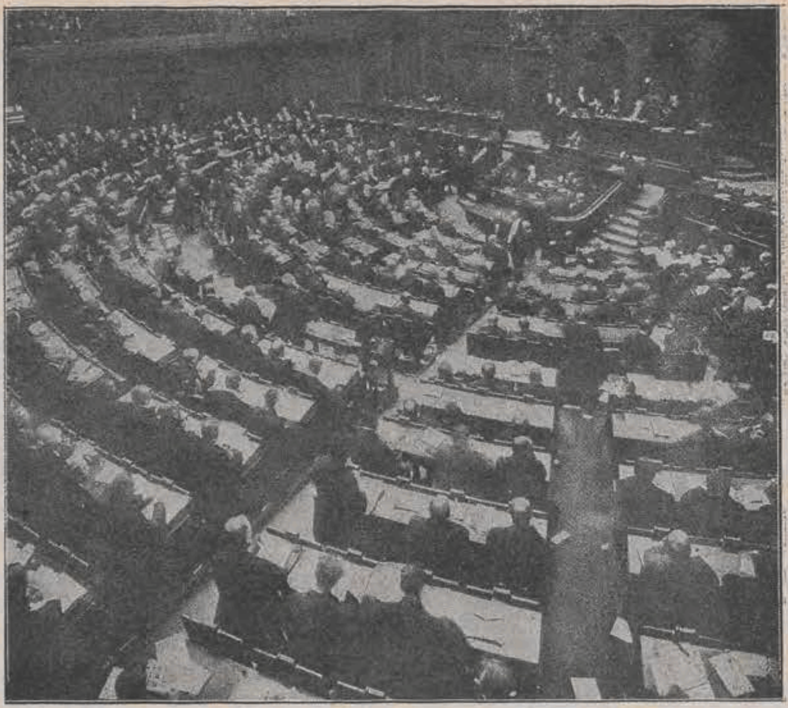
Chór „Lutni", pod dzielną dyrekcją Piotra Maszyńskiego, rozpoczął wieczór odśpiewaniem polonezu Chopina a następnie profesor Al. Michałowski odegrał w 1-ej i 2-ej części koncertu utwory Chopina ze szczerem jak zwykle odczuciem. Zna-

komity tenor prof. Al. Myszuga odśpiewał Arję z kurantami ze „Strasznego dworu"; ten zawsze piękny głos oraz inteligientne odtworzenie i tym razem porywały słuchaczów entuzjastycznie domagających się powtórzenia. Akompanjował mistrzowi zespół orkiestry symfonicznej pod batutą Birnbauma. Młody, wielce utalentowany skrzypek p. Józef Oziminski w dwóch nocturnach wykazał silny i głęboki ton oraz wielką sprawność techniczną; szkoda tylko że tak rzadko widujemy go na estradzie jako solistę. Pani Kamińska-Latoszyńska odśpiewała dwa mazurki ze zwykłem powodzeniem.

Na fortepianie z dyskrecją i artyzmem towarzyszył prof. Feliks Starczewski.

Wszyscy artyści zbierali oklaski oraz otrzymali laurowe wieńce i kwiaty w podzięce za szlachetny udział w koncercie.

Z.



Otwarcie parlamentu niemieckiego.

Cudowne dziecko.

Z niemałem zainteresowaniem słuchaliśmy w Filharmonji popisu 10-letniego skrzypka, Józefa Chejfeca. Zaiste jest on „cudownem dzieckiem". Mając 8 lat skończył już szkołę muzyczną w Wilnie, zyskał wiele odznaczeń a dziś zaliczyć go nawet można do dojrzałych wirtuozów.



Józef Chejfec cudowne dziecko.

Trudno przesądzać co przyszłość przyniesie, cudowne dzieci nieraz stawały się najzwyklejszymi dorosłymi śmiertelnikami, lecz bywało też inaczej, weźmy naprzykład Bethovena, Mozarta i wielu innych. Teraźniejszość jest świetna, przyszłość — zobaczymy.

Przegląd polityczny.

Muzyka rusinów dała wynik, który napewno nie zadowolnił ich... zachłanności. Sejm odroczono do października. Uchwalono prowizorjum budżetowe, no i na kilka miesięcy odsunięto smutną konieczność spotkania się twarz w twarz z hajdamackiem niebezpieczeństwem. Może przez te kilka miesięcy „wywczasów" wytrzeźwieją, a więc będzie można przyjść z nimi do porozumienia. Jest to jednak wątpliwe na razie, gdyż uparli się i chcą pozostać przy swoich obstrukcyjnych metodach.

W życiu państwa austrjackiego zaszedł wypadek nielada. Śmierć Aehrenthala każe przypuszczać inowację, chociaż przypuszczenia te mogą też spełznąć na niczem. Zatargi Aehrenthala z następcą tronu powinny wydać teraz rezultaty. Cesarz Franciszek Józef rozkazał, by ceremonja pogrzebu zwłok Aehrenthala odbyła się z nadzwyczajną pompą.

Na miejsce zmarłego zamianowano hr. Berchtolda. Osobistość bez przeszłości politycznej wyraźnej. Wybiera się on w podróż do Berlina i Rzymu. Zamianowano też na ministra finansów Bilińskiego. Nominacja ta budzi nadzieje.

Wojna włosko-turecka przynosi nam niespodzianki coraz większe. Przy rozpoczęciu zdawało się, że Włosi skończą tę kampanję, w bardzo krótkim czasie. Okazuje się jednak, że orzech był twardszy, niż przypuszczano. Poprzedni entuzjazm włoski wobec wyprawy do Trypolisu niesłychanie osłabł. A przytem finanse szwankują.

Sądy pruskie uznały związki sokołów za organizacje polityczne, a więc polecono rozwiązać wszystkie stowarzyszenia pod tą nazwą. Sąd pruski w motywach wyroku zdecydował, że gimnastycy sokolscy są agitatorami wielkopolskimi. Bez komentarzy! Jest to jeszcze jeden dowód... bezstronności w stosunku do polaków zaboru pruskiego.

Parlament niemiecki ostatecznie wybrał na prezydującego, wolnomyślnego Kaempfa. Omylił



Bebel, poseł, laeder socjalistów.



Dr. Spahn centrowiec, zrzekł się godności prezesa parlamentu, wobec wyboru socjalistycznego wice-prezesa.

się więc centrowiec dr. Spahn, gdy sądził że złożenie mandatu może doprowadzić do jakiegoś konfliktu. Na miejsce drugiego wiceprezesa Paaschego, wybrano wolnomyślnego Dore. W ten sposób ukonstytuował się nowy parlament niemiecki. Jedną z pierwszych inowacji jest postawienie wniosku przez socjalistów o zniesienie prawa kagańcowego, jakie jest stosowane do Polaków. Centrowcy też postawili taki sam wniosek. Należy się więc spodziewać, że już niezadługo wolno nam będzie przemawiać w języku polskim na zebraniach. Jest to dla nas bardzo ważne, gdyż dotychczas wolno nam było mówić po polsku tylko w tych miejscowościach, gdzie stanowimy większość. W innym przypadku publicznie musieliśmy przemawiać po niemiecku.

Deputacja do cesarza, prezydującego Kaempfa i drugiego wiceprezesa Dore'go nie została przyjętą. Jako powód wyłuszczono—brak w deputacji pierwszego wiceprezesa Scheidemanna. Możliwe, że gdyby był wybrany Bebel, przywódca socjaldemokracji niemieckiej, to nie wpuszczono by nawet... deputacji do wrót zamku?

Nieukontentowanie z wyborów oficjalnie rząd wypowiedział przez usta kanclerza Bethmana Holwega. Kanclerz państwa w ostrych mowach krytykował wybory, oskarżał socjalistów. Na następnem zebraniu replikował mu poseł socjalistyczny Ledeborn, lecz kanclerz był nieobecny. Ledeborn znany jest



Scheidemann socjalista, pierwszy wice-prezes niemieckiego parlamentu.

jako gorący obrońca spraw polskich w parlamencie. Należy do najświetniejszych mówców „reichstagu".

Duma nareszcie uchwaliła samorząd dla Królestwa Polskiego. Wniesiono jednak zastrzeżenie, że prawo to nie rozciąga się na miasta proponowanej przyszłej „guberni Chełmskiej".



Baron Aehrenthal
minister spraw zagranicznych, zmarły w Wiedniu.

Przewrót w Chinach.

Ruch rewolucyjny na dalekim wschodzie, który objął wszystkie prowincje chińskie, a dziś już wydał pożądane dla państwa Niebieskiego owoce, zajmuje wciąż i jeszcze długo zajmować będzie w szczególności społeczeństwo i państwa Europy.

Olbrzym chiński zaczyna się budzić z wiekowego uśpienia a przebudzenie to z czasem groźnem stać się może dla wszystkich sąsiadów czterechsetmiljonowego państwa. Niebezpieczeństwo żółte i czasy Czyngizhanów mogą powrócić z tą wszakże różnicą, że nie dzikie hordy, lecz kulturalny naród zechce może władztwo swe kiedyś ugruntować na całym obszarze nie tylko Azji lecz i... Europy. Spójrzmy tylko na rozwój kulturalny i polityczny Japonji—rozwój, który, postępując intensywnie w przeciągu ćwierćwiecza, wydał dziś rezultaty conajmniej niespodziewane. Czy lepiej będzie, czy gorzej w razie ewentualności napływu żółtej rasy trudno przesądzać, nie jest jednak tak strasznem, tak groźnem, szczególnie dla nas, to niebezpieczeństwo, gdy żółta rasa choćby w awangardzie swej — japończykach, dowiodła w wielu wypadkach niewątpliwej wyższości kulturalnej i etycznej przy przeprowadzaniu analogji z białymi mieszkańcami Europy.

Dziś, Chiny ogłoszone jako rzeczpospolita, uczyniły wielki krok na drodze postępu, krok pierwszy—i najtrudniejszy. Obalenie dynastji i dotychczasowego ustroju, maskowanego zręcznie, przez całe wieki, aureolą „woli bogów" i nienaruszalnej świętości, to czyn zaiste tytaniczny wobec ciemnoty i fanatyzmu religijnego chińczyków, czyn niespodziewany...

Na czele ruchu wolnościowego stał od początku Dr. Sun-Jat-Sen, człowiek wielkich zdolności i woli. On też ze swym sztabem urzeczywistnił powzięte od lat kilku zamierzenia.

Dynastja złożyła władzę w ręce wybitnego męża stanu Juanszykaja, który zapewnia naród i jego przedstawicieli o swych uczuciach wolnościowych, i dziś jest już faktycznym prezydentem rzeczypospolitej chińskiej.

Mądry Sun-Jat-Sen, nie chcąc nowych zamieszek wprowadzać w ukochanej ojczyźnie, nie oponuje przeciwko temu wyborowi, a choć faktycznie władza w wielu prowincjach jeszcze znajduje się w jego rękach, chętnie złoży ją w ręce oficjalnego prezydenta, rozumie się pod warunkiem przyjęcia i wypełnienia przezeń zobowiązań względem narodu, obdarowanego prawami obywatelskiemi i... ludzkiemi.



Przywódca rewolucji w Chinach, **dr. Sun-Jat-Sen**, po przybyciu do Nankinu, przyjmowany jest na dworcu z wojskowymi honorami.

40-letni jubileusz Morozowicza.

Niczem byłby ryk burzy morskiej — żeby tak zebrać wszystkie wybuchy śmiechu, do którego znakomity komik sceny polskiej, popularny Rufin Morozowicz, zmusił w ciągu lat 40-tu miljonowe zastępy publiczności.

Wdzięczni mu jesteśmy za te chwile wesołości, któremi nas szczodrze raczył, wdzięczni za te chwile zapomnienia o troskach i smutku.

Karjerę rozpoczął Morozowicz od występów w prowincjonalnych teatrzykach, był w teatrze Trapszy, miał jakiś czas własną trupę. Wkrótce przecież talent jego zwrócił uwagę, to też widzimy go już na scenie w Krakowie, skąd, po kilku latach, powołany do Warszawy, występuje jako pierwszy komik naszej farsy i operetki. Że wyliczymy tylko kilka najświetniejszych jego kreacji, jak w „Boccaciu", „Bettinie", „Pięknej Helenie", „Dziesięciu córach na wydaniu", „Zemście nietoperza" i t. d.



Rufin Morozowicz
święcił w tych dniach 40-letni jubileusz sceniczny.

Będąc reżyserem operetki, wystawił sztukę własnego pióra „Ostatni los", która zyskała powodzenie.

Reżyserem był przez 10 lat, a jako uzdolniony malarz, dekorował wystawiane przez siebie operetki.

W dniu 40-lecia życzymy jubilatowi-artyście doczekania złotych godów ze sztuką. Dziesięć jeszcze lat... Morozowicz doczeka a i my też chyba doczekamy, o ile przedtem nie... pękniemy ze śmiechu podczas której z znakomitych jego kreacji.

Ś. p. Teodor Górski.

Świeżą mogiłę usypano w ziemi kujawskiej... łzami ciepłemi obmył lud jej szare zbocza... Przeżywszy lat 70, zmarł Teodor Górski, właściciel dóbr Świerczyn i Galonki, zacny obywatel kraju, niestrudzony działacz społeczny, człowiek nieposzlakowanego charakteru.

Działalność społeczna ś.p. Górskiego sięga jeszcze jego lat młodzieńczych i jasną wstęgą przewija się przez ciąg jego żywota. W latach, gdy wszelka akcja społeczna nie mogła się należycie rozwijać w kleszczach niesprzyjających warunków okresu przedrewolucyjnego, Górski dzielnie pokonywa przeszkody, śmiało i roztropnie dążąc do wytkniętego celu. Zakłada jedną z pierwszych ochron, pracuje nad oświatą umiłowanego przez siebie ludu, zakłada kółko rolnicze a łącząc zawsze w swych czynach serce i rozum, zyskuje miłość i szacunek współobywateli. To też go nieraz proszą o uczestniczenie w sądach honorowych i polubownych i wybierają na sędziego gminnego, który to urząd długie lata sprawuje, wywiązując się z obowiązków odpowiedzialnego stanowiska ku powszechnemu najpełniejszemu zadowoleniu całej okolicy.

Powołany na delegata Tow. Kredytowego Ziemskiego, wkrótce zostaje radcą Dyrekcji Szczegółowej warszawskiej tegoż T-wa a choć ma wszelkie szanse zostania prezesem Dyrekcji, wycofuje się jednak, by nadal w rodzinnem swem gnieździe baczyć nad potrzebami kulturalnemi ukochanego przezeń ludu. Natomiast kilkakrotnie przyjmuje honorową godność prezesa wyborów Tow. Kred. Ziemskiego.



Ś. p. Teodor Górski
wybitny obywatel kraju.

Olbrzymi wieniec ze zboża złocił się na ciemnej trumnie— czarne spracowane złożyły go

dłonie, a niejedna łza srebrzysta jaśniała wśród kłosów...

Cześć pamięci zacnego obywatela kraju, cześć pamięci niestrudzonego pracownika!

Zemsta kobiety*).

Temperament pisarski Choromańskiego postawił sobie za zadanie doświadczać „artystycznie“ tajemnicę duszy kobiecej. Już w „Zuzannie“ silnie podkreślił swoje tendencje widzenia kobiety, chociaż i helleńskiej filozofji kultu nagiego, świętego ciała dał upust szeroki. Dla Choromańskiego kobieta jest zagadką, której poświęca swoje rozmyślania artystyczne; pragnie on zmienną, żyjącą twarz tego sfinksa wykuć w marmurze swojego słowa i przez to zamknąć ją w kształt określony, pewny. Pozatem zaś, jako każdy szczery artysta posiada on niewysłowiony kult dla mowy, narzędzia ukonkretnień literackich. Każdy okres, każde zdanie, każde słowo jest zważone, wycyzelowane, obmyślane. I nie f ziw wcale! Cho-



Leon Choromański
utalentowany nowelista.

romański wychowany jest na klasycznych wzorach literatury francuskiej a od, mistrzów naszych przejął pietyzm i miłość dla słowa polskiego.

Jako autor „Zuzanny,“ przez krąg swoich zainteresowań artystycznych, musiał wzbudzić przeświadczenie, że może być

*) Zuzanna, nowele str. 208. Warszawa 1911. Nakład G. Centnerszwera i spółki.

„Zemsta kobiety“ i inne utwory z cyklu „Les diaboliques“ J. Barbey d'Aurevilly. Przełożył L. Choromański, str. 325. Warszawa 1912. Centnerszwer i S ka.



Rozruchy w Lizbonie. Monarchiści i republikanie nie mogą zżyć się ze sobą. Oto widzimy jak patrol policyjny aresztuje właśnie jednego z ulicznych agitatorów. (Zdjęcie migawkowe).

doskonałym tłomaczem Barbey d'Aurevilly'a. D'Aurevilly pociągała też zwodnicza maska psychologji kobiecej, pisał swoje „Les Diaboliques“ by dać wyraz swoim tęsknotom, marzeniom, by równocześnie ukazać zbrodniczą, namiętną, kapryśną twarz Ewy wszechdziejowej. Pan Choromański był wprost opatrznościowym, wymarzonym tłomaczem autora „Les diaboliques“. Przekłady jego są wspaniałe. Można chyba śmiało powiedzieć, że od ostatnich przekładów Miriama, tłomaczeń z Nietzschego (wyd. Mortkowicza) zanotować na plus tłomaczów nie wieleby się dało.

Jako nowelistę, przywitano Choromańskiego zgodnym chorem wyróżnienia. Sądzę, że jako tłomacz spotkać się również powinien z uznaniem.

Po talencie Choromańskiego należy się wiele spodziewać, gdyż posiada zupełnie nowy, świadomy pogląd na świat, umie w imię swoich przekonań podnieść przyłbicę i stanąć twarz w twarz do walki. Wśród młodego pokolenia jestto rzadki przywilej charakteru, niespotykana prawość sumienia pisarskiego.

W zbiorku obok „Zemsty kobiety“ znajdują się jeszcze dwie nowele, a właściwie opowieści: „Karmazynowa firanka“ i „Szczęście w zbrodni.“ Są one arcyciekawymi przyczynkami do psychologji kobiety! Czytelnik o wykwintnym smaku literackim, a równocześnie lubiący myśleć nad tem, co czyta, znajdzie w tym zbiorku wiele cennego dla siebie materjału. Książkę wydała starannie firma G. Centnerszwera. Druk wprost bajeczny. Tak książki drukują tylko w Krakowie. Warszawscy drukarze przeważnie grzęzną w tandecie. Niech biorą przykład ze swoich współzawodników z za kordonu.

D'Annunzio—piewcą wojny.

W rozgwarze wojny zapomniał d'Annunzio o gniewie, jaki żywił dla swojej ojczyzny, że pozwoliła wierzycielom jego zabrać kosztowne dzieła sztuki, że pozwoliła zająć willę. Puścił w świat „Pieśń o morzu“, „Pieśń krwi“ „Pieśń Diany“, sensację jednak wywołała „Pieśń o Dardanelach“. Lecz wydanie książkowe tych wierszy zostało wzbronione przez prefekturę medjolańską. Z tego powodu do-

szło do interpelacji w parlamencie, a nawet skandalu. Podobno „Pieśń o Dardanelach" jest obelgą dla Austrji i jej monarchy, co zmusiło prefekturę do wydania zakazu. Zakaz ten nie poskutkował, wydawca Trery nie zląkł się konfiskat ani kar i patrjotyczni włosi zaczytują się pieśniami „największego" swojego poety.

Krytyka artystyczna na ten zachwyt swoich współrodaków patrzy z pobłażliwością. Zimne są bowiem ogniste słowa tych wojennych poezji. D'Annunzio dotychczas znany również jako bohater w miłosnych „wojnach" oraz utracjusz fortun—staje się bohaterem narodowym! Ano... fortuna kołem się toczy.



Gabryel d'Annunzio
popularny poeta włoski.

Upadek ze spadochronem.

Wielkie są zdobycze lotnictwa, lecz i wiele ofiar wciąż lotnictwo zabiera. Usiłowania są obecnie skierowane nietylko żeby przez ulepszenia, wprowadzane w aeroplanach, przeciwdziałać upadkom, lecz również żeby przez odpowiednie specjalne przyrządy (spadochrony i t. p.) łagodzić upadek.



Rejchelt w spadochronie.

Krawiec z Wiednia, Franciszek Rejchelt, sporządził przyrząd, który miał jakoby znakomicie łagodzić upadek, a ufny w sprawność swego przyrządu pojechał do Paryża w celu dokonywania prób z wieży Eiffla. Pierwszą i ostatnią była próba dokonana z wysokości 50 metrów. Wobec tłumnie zebranych widzów, Reichelt, pewny swego przyrządu, skoczył z pierwszej kondygnacji wieży, lecz aparat niezupełnie się otworzył i nieszczęśliwy wynalazca runął w szalonym pędzie na ziemię, zabijając się na miejscu.

Dziwna moda.



Oryginalne miejsce na fotografję.

Co kraj — to obyczaj. Np. w Ameryce płeć piękna w pogoni za ekscentrycznością, nie przebiera w pomysłach, co najmniej oryginalnych. Zgrabny pantofelek, zamiast szablonowej klamry, spięty bywa klamrą niezwykłą z wizerunkiem... (no zgadnijcie!)... narzeczonego!! Dobrą stroną tej mody jest to przynajmniej, że co krok widzi się oblicze ukochanego: a no—może i to coś warte. Na starym jednak kontynencie dzieje się inaczej. U nas nadobne panie, zamiast na pantoflu, wolą po dawnemu pod pantoflem trzymać panów swych gorących serduszek.

Bibljografja.

„Sfinks", miesięcznik literacki pod red. Wł. Bukowińskiego. Zeszyt styczniowy 1912. Treść numeru: Marja Bukowińska (wspom. pozgon.); Dr. Al. Koltoński, Giorgio Vasari; K. Gliński, Z nocy bezsennych; Al. Kraushar, Dramat szkolny kaliski; St. Przybyszewski, Mocny człowiek; M Sobeski, Z psychologji twórczości; J. Lipińska, Czuwajcie; M. Zbrowski, Sonety; W. Makowski, Rok 1905 w literaturze; L. J. Koszutska, Z oddali; Eljan, Jak odłamana gałąź; W. Bukowiński, „Na fali"; Ar. Chybiński, Z literatury Chopinowskiej; E. Czekalski, O B. Adamowiczu.

W chaosie sprawy.



Feliks Zawadzki
aresztowany w związku z sprawą Ronikiera i — znów uwolniony.

HYGIENA PIĘKNOŚCI.

Być piękną, to wspaniały dar niebios, to nieprzebrane źródło uciech—ale pozostać piękną na długie lata—to nasza kobieca mądrość i życiowa sztuka. Jeden z naszych poetów pisząc śliczną swoją „Sielankę młodości“, zaczął ją słowami:

„Panna była prześliczna a z modrych jej oczek
„Zaledwie że szesnasty uśmiechał się roczek.

...Bo ten szesnasty roczek, to cudny pierwiosnek życia, to uroczy powiew budzącej się natury — to jasne światło jutrzenki... Po nim następuje wiele jeszcze lat równie ślicznych, ale niestety lata te biegną szybko... a nieubłagany czas z automatyczną precyzją zaznacza na urodzie naszej, zaborczy i niszczący swój pochód... W lat szesnaście każda z nas może zanurzyć oblicze w wodzie źródlanej a przejrzeć się w toni strumyka, rozpuścić na ramionach fale złotych, lub kruczych włosów i śmiać się do kwiatów i słońca. Z biegiem lat musimy niestety zmienić te prymitywne sposoby, a im dalej pozostawiamy za sobą pierwszą młodość, tem zachowanie urody wymaga większych i bardziej uświadomionych starań.

Pewnikiem jest, że łatwiej czemuś zapobiedz niż później zło naprawić, dlatego, chcąc zachować piękność na długo, nie należy czekać aż nam siwizna skronie pokryje, lub włosy się przerzedzą, aż nam zmarszczki twarz zeszpecą, aż oczy stracą blask, zęby białość, usta świeżość, aż zatracimy przez zbytnią tuszę, harmonję i rysunek postaci — ale zawczasu już należy się bronić przeciw tym życiowym naleciałościom — bronić logicznie i wytrwale. I ta właśnie samoobrona jest zadaniem *Hygieny piękności i racjonalnej postępowej kosmetyki.*

Otóż, wogóle Hygiena, czyli sposób życia, jest najpotężniejszym czynnikiem zdrowia a zdrowie niezbędnym warunkiem piękności. We wszystkich poradach, kładę na to nacisk największy. Ogólna zdrowotność organizmu jest bezsprzecznie podstawą, na której buduje się gmach długotrwałej urody, mającej największych wrogów w przeczulonych nerwach i anemji, wywołanych wadliwym, antihygienicznym sposobem życia. Jest to błędne koło, w którem obraca się krocie ludzi — a z którego jednak wydostać się można i trzeba.

To dosyć trudne zadanie pragnę ułatwić Szanownym Czytelniczkom i Czytelnikom moim, zamieszczając na łamach „Złotego Rogu“ szereg uwag, rad i wskazówek, opartych na dużej praktyce i doświadczeniu a mających na celu zachowanie fizycznej estetyki wyglądu lub pozbycie się już istniejących wad i braków.

To będzie zadaniem „Hygieny piękności“.

Marcèle.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie rb. 4.— półr. rb. 2.— kwart. rb. 1.—
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. „ „ 4.60 „ „ 2.30 „ „ 1.15
Za granicą i za oceanem „ „ „ „ 5.— „ „ 2.50 „ „ 1.25
W Austrji i Galicji „ „ „ 12 kor. 50 h. „ 6 kor. 50 h. „ 3 kor. 30 h.
Numer pojedyńczy kop. 10 — halerzy 25. Zmiana adresu — 20 kop.

Przybywający prenumeratorowie otrzymują komplety. Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU“ w Warszawie Mazowiecka № 5, wszystkie poważniejsze księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ: Nadesłane przed tekstem (za wiersz 1-szpalt. petitowy) 40 kop., 4-ta strona okładki 30 k., Reklamy za tekstem 25 kop., Ogłoszenia zwyczajne 20 kop., Ogłoszenia specjalne 75 kop.

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz Eustachy Czekalski.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.